

Fragment utworu w przekładzie

Thomas Melle
Haus zur Sonne

Kiepenheuer & Witsch Verlag, Köln 2025
ISBN 978-3-462-00465-6

Str. 7-26

Thomas Melle
Dom pod Słońcem

Przekład: Ewa Mikulska-Frindo



Odpowiedź znajdowała się w niebieskawo błyszczącej kopercie. Rozdarłem ją, niedbale rzuciłem na podłogę, gdzie leżała sobie obrażona, połyskując, i przeczytałem, że przyjęto mój wniosek. Ta wiadomość mnie nie poruszyła, ale też nie pozostawiła obojętnym. Cieszyłem się oczywiście. Cieszyło mnie również to, że przyjąłem ją jako coś oczywistego. Czułem, że zrozumiano moją sytuację. A moje życie dobiegało końca.

Sąsiad bez słowa czmychnął mi za plecami na klatkę schodową, nie odpowiedział również na moje „cześć”. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego mieszkańcy tego miasta, zwłaszcza biedniejszych dzielnic, byli tak bezwzględnie nieprzyjaźni. Podniosłem kopertę z podłogi, trzymałem ją pod światło, patrząc na lekko migotliwy błękit połyskujący w rytmie mojego pulsu. Potem zamknąłem skrzynkę na listy.

Usiadłem na górze w zniszczonym mieszkaniu z zaciągniętymi zasłonami i ścianami pomazanymi farbą i najpierw wypilem tyk letniej coli. Przez długi czas byłem uzależniony nie tylko od leków, ale także od niej. Teraz, zupełnie bez mojego udziału, odzwyczaiłem się od tej czarnej trucizny, nałóg po prostu ustał, a ja kupowałem ją tylko od czasu do czasu z czystej bezzadności i niezdolności do podejmowania decyzji. Cola, którą teraz piłem, smakowała jak mdłe, blaknące wspomnienie moich najmroczniejszych czasów: lepka, chemiczna, bez wyrazu.

Ponownie wziąłem list do ręki i przyjrzałem się wyraźnym, pozbawionym ozdóbek literom na karbowanym papierze. Dołączono niewielką kopertę z adresem internetowym i kodem kreskowym. Tam, jak napisano, znajdowały się dalsze instrukcje wraz ze szczegółowym kwestionariuszem, który miałem wypełnić w ciągu dwóch najbliższych dni. Chciałem odczekać co najmniej trzy, cztery godziny, zanim spełnię tę prośbę i wejdę do Internetu. Byłem pewien, że zapiszą mój adres IP. Nie chciałem sprawiać wrażenia, że aż tak bardzo potrzebuję pomocy lub jestem nastawiony zbyt entuzjastycznie.

Zazwyczaj paliłem tak, jak inni oddychają: nieprzerwanie, bezmyślnie i bez zastanowienia – jak automat. Papieros, po który teraz sięgnąłem, różnił się od pozostałych. Paliłem go uroczyście i z pewną powagą, doceniając każde zaciągnięcie, jakby było ostatnim. Patrzyłem dookoła obcym wzrokiem w roznoszącym się dymie. Mieszkanie już dawno od niego zupełnie pożółkło, a w jego rogach wisiały pajęczce sieci posklejane od nikotyny – ten stan odnosił się nie tylko do lat maniakalnych i depresyjnych, ale także do wcześniejszych, normalnych. Wszędzie kleiła się farba. Niektórych kartonów nadal nie rozpakowałem – przy czym „nadal” odnosiło się do chwili, która nigdy nie nadejdzie, zwłaszcza teraz, po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi. Kartony były zamknięte i takie już pozostaną. Nie miałem ich przecież zbyt wiele. W ostatnich latach ponownie sprzedałem lub utraciłem swój dobytek, wbrew własnej woli. Mieszkałem tu do odwołania, między kilkoma

kartonami, które po prostu zabrałbym ze sobą gdziekolwiek, do następnego miejsca. Tak dotychczas zakładałem.

Ale teraz było jasne, że tutaj zostaną, stojąc samotnie w kącie, i kiedyś ktoś je zwyczajnie usunie. Nie będzie już można znaleźć ich właściciela.

2

Katastrofa powtórzyła się bowiem, i to dłużej i intensywniej niż kiedykolwiek do tej pory. Nie sądziłem, że coś takiego może się wydarzyć, że będzie jeszcze gorzej i destrukcyjniej niż poprzednio. Każda mania coś zabiera, nawet bardzo wiele, ale ta ostatnia pozbawiła mnie dosłownie wszystkiego.

Miałem nadzieję, że dzięki mojej wcześniejszej książce o chorobie afektywnej dwubiegunowej uporządkowałem i zakończyłem coś w swoim życiu i być może w jakiś sposób poskromiłem tego chorobliwego potwora. Kto tak dogłębnie zajmował się objawami i oznakami, reflektując je pod kątem języka, mógł mieć przecież nadzieję, że również w prawdziwym życiu będzie szczególnie wyczulony i odporny? A może nie? Podczas pisania książki po raz kolejny z całych sił przeciwstawiłem się chorobie – i przegrałem. Mój talent nie wystarczył, by ją pokonać, w końcu okazała się silniejsza. Po prostu znów uderzyła, jak chciała, mimo zażywanych przeze mnie leków. A ja? Nie miałem nic do powiedzenia. Zostałem zignorowany, przejechał po mnie walec. Znów zmyło mnie z powierzchni ziemi.

Mania trwała ponad dwa lata. Straciłem wówczas przyjaciół i pieniądze, ponownie zrujnowałem swoją reputację, zniszczyłem mieszkanie, popełniałem czyny karalne. Wszystko tak samo jak wcześniej, tylko o parę niuansów gorzej. Zniszczenie szalało w kostiumie złego klauna. Biorąc pod uwagę, że manie trwają zazwyczaj tylko kilka tygodni, można się zastanawiać, dlaczego to właśnie ja wyciągnąłem ten absurdalny roczny los. Kiedy przychodziła na mnie kolej, zawsze trwało to dłużej i było bardziej ekstremalne niż u innych. Tym razem katastrofa była tak doskonała, że musiałem przed nią zamykać oczy. Szczegóły były zbyt bolesne.

Już sama farba. Kiedyś musiałem być cały nią pokryty, może nawet przez kilka dni. Zacząłem malować dzikie, szalone obrazy, artysta, którym nagle się stałem, pokrywał mieszkanie coraz większą ilością barwnych plam. A potem jakiś impuls musiał skłonić mnie do pomalowania siebie. Miałem na głowie czerwoną lub brązową farbę – jak jakiś świr z psychodelicznego filmu. Próbowałem ją chyba zmyć, ale pewnie tylko powierzchownie, w pośpiechu, stosownie do chaosu panującego w mojej głowie. Na pewno wybiegłem też na ulicę, uznając ten stan za naturalny, bardziej naturalny niż wszystko, co było wcześniej. Byłem naznaczony od urodzenia, tak chyba sądziłem, a teraz było to widać również z zewnątrz, i to z całą jaskrawością. Tylko zobaczcie, prawdziwie naznaczony! Z

pewnością wkrótce zapomniałem, że tak wyglądam, i tym bardziej rzucałem się w oczy, biegając po ulicach jak szaleniec.

Czasami nie wierzyłem, że to naprawdę ja. Że mimo wszystkich środków ostrożności znów mnie to dopadło, że w ogóle cierpiałem na tę chorobę. Tysiąc razy się z nią zmagalem, a jednak znów doznawałem wzlotów i upadków. Przez dwa lata, znów najgorsze.

Potem nastąpiły kolejne dwa pełne depresyjnej beznadziei, hańby i wstydu, byłem właściwie niezdolny do życia: uświadomiłem sobie straty i niezliczone kawałki egzystencji, których nie mogłem już pozbierać, miałem duszności spowodowane górą długów i odczuwałem całkowitą bliskość śmierci. Ogromne odrętwienie, załamanie neuronów miesiącami, latami. Niewiara, upokorzenie. Wszystko się skończyło, znowu wszystko się skończyło.

Wieloletnie czekanie na nic. Styczeń upłynął pod znakiem powolnego, ciągnącego się tygodniami załamania manii. Luty oznaczał nieme trwanie przeciwko samobójstwu w najgłębszej depresji. Marzec był smutkiem. Kwiecień szarą obojętnością. W maju nadal chciałem umrzeć, lecz nie potrafiłem. Minął rok, mroczny i bezkształtny, a ja nadal żyłem. Potem kolejny, przeciągający się, pełen dystansu do wszystkiego. Przegapiłem fazę realizacji. A jednak decyzja została podjęta, byłem już martwy, w każdym razie tak się zachowywałem: całkowita bierność, brak działania, jakichkolwiek czynności, prawdziwy paraliż. Pseudoforma, być może wewnętrzna odmiana zespołu Cotarda: błędnego przekonania, że śmierć jest tuż tuż.

Straciłem również zdolność wyrażania się. Kiedy próbowałem pisać, nie wychodziło nic, co miałoby dawny rytm lub rozmach; te rzekomo dobrze napisane rzeczy wydawały mi się kłamstwem i były odległe, jakby wymyślił je ktoś inny – co zresztą odpowiadało prawdzie.

Było mi to zupełnie obojętne, ponieważ miałem do siebie zupełnie obojętny stosunek, miałem umrzeć, już byłem martwy, tak brzmiała decyzja podjęta gdzieś wewnątrz lub na górze, już dawno przypieczętowana.

3

Teraz, gdy przyszedł list z Domu pod Słońcem, depresja nie była już tak ostra, mroczna i przytłaczająca, lecz trzeźwiejsza, a nawet racjonalna. Wydawało mi się przynajmniej, że w pewnym sensie zakończyłem wojnę z ostatnią manią. Albo – żeby pozostać przy tym obrazie – złożyłem broń, a ona, zwycięska, dawała mi teraz przez krótki czas spokój, ponieważ i tak już wygrała. Starłem się pozostawić wszystko w średnim rozmyciu, nie pamiętać o tym cały czas. Wstyd nie palił już tak gorąco i wyniszczająco jak kiedyś. Przynajmniej nie w co minutowych odstępach.

Co musiałem stracić? Czy w ogóle byłem jeszcze człowiekiem? A może już tylko upokorzoną przez chorobę i straumatyzowaną, pokrytą bliznami kupką nieszczęścia, która kupiła sobie ten tak zwany spokój otępieniem, ponieważ nie mogła już tego znieść?

Nadal trwała całkowita izolacja. Nie miałem już z nikim kontaktu, co najwyżej z Ellą, zasypano kanał czasu prowadzący naprzód i perspektywę przyszłości, w której to mogłoby się zmienić. Byłem samotny i tak miało pozostać. Właściwie nie chciałem taki być, ale nie mogłem już mieć zbyt wiele wspólnego z ludźmi, zwłaszcza że większość z nich po prostu odeszła, zniknęła z mojego życia, niektórzy nawet ze złośliwym uśmieszkiem. Straciłem tak wiele, że nie miało sensu odzyskiwanie czegokolwiek. Kiedy się z kimś spotykałem, odgrywałem przed nim okrojoną wersję człowieka, którym kiedyś byłem. Więcej się nie dało. Pozostawało tajemnicą, kim naprawdę byłem (a raczej, kim już nie byłem). Gdzieś tam, w ciemności, był chyba ktoś, ale kto, sam już nie wiedziałem. I nie miał już żadnej wartości dla siebie, ani dla mnie.

Śmierć stała się moją drugą naturą. Właściwie mnie już nie było, chociaż zacząłem wreszcie znów dostrzegać małe, delikatne światełko, a ból nie palił już w tak bezlitosny sposób. Jednak im lepiej się czułem, tym paradoksalnie racjonalniejsze i trzeźwiejsze stawały się myśli samobójcze. Nie wynikały one już tylko z rozpacz, ale również z rozsądku.

4

Kolejne dni marnowałem uważnie. Nakazano mi poinformowanie otoczenia o zbliżającym się wkrótce „programie rehabilitacyjnym” i pobycie w sanatorium wspierającym ten projekt. Mogłem to szybko załatwić, ponieważ wokół mnie było niewiele osób. Po operacji kręgosłupa lekarze i tak zalecili mi rehabilitację, więc zbliżający się pobyt idealnie wpisał się w logikę wydarzeń. W rozmowie rzuciłem tę wiadomość mimochodem, komentując ją jednocześnie sceptycznym niezadowoleniem, które towarzyszyło wszystkim moim obserwacjom i działaniom. Daniel i Laura, z którymi nadal utrzymywałem kontakt, a przede wszystkim Ella, wspierali mnie w tym przedsięwzięciu i dodawali otuchy. Każdy krok lub najmniejszy postęp był mile widziany, byleby coś się zmieniło po tym przytłaczającym, zbyt długim czasie choroby.

Poza tym ćwiczyłem się w znikaniu i zacząłem porządkować pozostałe rzeczy, aby wkrótce, miejmy nadzieję, posiadać tylko to, co niezbędne.

W kartonach znalazło się więc kilka kabli, parę starych wydań książek, których nikt nie chciał, najmniej ja, wieszaki, dokumenty, bezużyteczne urządzenia i różne naczynia. Nałogowy zbieracz bez masy rzeczy. Co jeszcze miałem uporządkować? Kroki odbijały się echem w zniszczonym mieszkaniu.

Najlepiej po prostu wszystko wyrzucić, pomyślałem. Ale na to nie miałem odwagi. Zacząłem przynajmniej jakoś porządkować papiery, wyrzucać stare umowy najmu i bezużyteczne wyciągi bankowe, ponownie czytać opinie psychiatryczne sprzed lat, by je następnie w końcu podrzeć. Powoli robiło się tego coraz mniej, ale nie udało mi się zaprowadzić porządku. Wszystko wyglądało jak bezwartościowy spadek, którego nikt nie chciał.

Czasami dla zachowania pozorów chodziłem po ulicach, kulejąc, niczym *dead man walking*. Życie ze świadomością bliskiej śmierci było dziwnym uczuciem, ponieważ wszystkie przeżycia, których doznawałem, wydawały się ostatecznie nierealne, prawie jakby już minęły. Właściwie nie zbierałem już prawdziwych doświadczeń, ponieważ miejsce, wokół którego powinny się gromadzić, było już puste. Nie było osoby, która mogłaby coś przeżywać, a jej ciało było obecne tylko na wezwanie. Nie istniało już nic, co mogło lub chciało jakoś zatrzymać te doświadczenia. Wewnętrznie ta osoba już odeszła, a zewnętrznie jej faktyczne odejście było już tylko kwestią czasu.

5

- I naprawdę mam cię nie odwiedzać? – Ella z ponurą miną mieszała Yogi Tea. Miłośnicy herbaty budzili we mnie pewną podejrzliwość, ale w przypadku Elli to mi się podobało, ponieważ ją lubiłem.
- Nie, to chyba część koncepcji, że na początku nie przyjmuje się odwiedzin. Tak samo jest w domach spokojnej starości.
- Nie jesteś jeszcze taki stary.
- Niedługo będę. Trzeba się całkowicie poświęcić programowi i zaaklimatyzować. Świat zewnętrzny tylko przeszkadza.
- I to pomaga w walce z depresją? To jest terapia, czy co to jest?
- Kompleksowy pakiet terapeutyczny. Tak mówią. Tak dokładnie sam nie wiem.
- Chcę najpierw porozmawiać z lekarzami.
- Nie. Tym razem chcę to zrobić sam. – *Nie musisz mnie już ratować* – byłem bliski dodania.
- Nie lubię, kiedy mnie wyklucasz – powiedziała. – Bierzesz leki?
- Po raz dziesiąty powtarzam: zawsze je biorę – powiedziałem. – Brałem je również przed manią.
- Dlaczego nikt mi nie wierzy? Dlaczego ludzie chcą uczynić mnie kozłem ofiarnym we własnej sprawie?
- To nie jest moim zamiarem.
- To nieprawda, zawsze ta gadka: *on sam jest temu winien*. Chcecie prostego wyjaśnienia, że to ja jestem za to odpowiedzialny. Ale tak nie jest.
- Przecież ci wierzę. O kim ty mówisz?

- Ach, o tych wszystkich ludziach na zewnątrz – powiedziałem, wykonując w powietrzu niejasny gest ręką, co nas rozbawiło.
 - Nie wykluczam cię – dodałem – takie są po prostu zasady.
 - Ok. Więc będziesz sam. Ale będę mogła cię odwiedzić po trzech, czterech tygodniach?
 - Raczej tak. Potrzebna jest zmiana, jakaś cezura. Trzeba się całkowicie wycofać ze starego życia. Ach – westchnąłem – mam tylko nadzieję, że ten pobyt w końcu przywróci mi strukturę. Wewnętrzną i zewnętrzną.
 - Byłoby miło. I tak jesteś już na dobrej drodze.
 - Robię, co mogę – powiedziałem i poczułem się jak u terapeuty, któremu podsuwałem gotowe frazesy, żeby go zadowolić. Ella zdaje się to wyczuwała.
 - Czy to wiąże się z długoterminową psychoterapią, dłuższą niż twój pobyt tam?
 - Tak, jeśli będę chciał.
 - Kilka tygodni terapii nic nie da.
 - Jasne.
 - Proszę, skorzystaj z tego.
 - Przecież już to robię.
 - Wiesz, o co mi chodzi. Czy to dotyczy jedynie ciała? Czy ciała *i* duszy?
 - To holistyczne podejście. Pełny pakiet.
 - To ci dobrze robi. Wzmocni kręgosłup, zmniejszy brzuch. Chociaż akurat on mi się podoba.
 - Dziękuję. A moja łysina?
 - To jeszcze nie łysina. Ale bardzo ją kocham.
 - Właściwie cieszysz się tylko, że nie mam już szans u innych.
- Musiła się roześmiać, a ja śmiałem się cicho razem z nią. Potrafiliśmy nadal rozmawiać w lekki, czasem radosny sposób, bez względu na to, jak ciężko mi było na sercu. Próbowiałem wyrzucić z głowy myśl, że to może być nasze ostatnie spotkanie, ale to mi się nie udało. Umrę i najprawdopodobniej nie wtajemniczę Elli w tę sprawę. Poczucie winy ścisnęło mnie od środka.
- Mam nadzieję, że się tam nie zakochasz – powiedziała.
 - Już tego nie potrafię.
 - Dziękuję, bardzo to uprzejme.
 - Mam na myśli kolejne zakochanie – odrzekłem.
 - Cóż, też mam taką nadzieję.

Nadszedł czas, żeby zapłacić. Kelner o wyglądzie punka rzucił nam rachunek z beczelną miną. Dałem mu spory napiwek. Wstaliśmy, musiałem się przy tym postarać, żeby nie stracić równowagi. Potem odpięliśmy rowery i pocałowaliśmy się na pożegnanie.

– A tak w ogóle będę za tobą tęsknić – powiedziała.

– Ja też – odpowiedziałem. – Jak zawsze.

I to nawet była prawda. Tęskniliśmy za sobą nieustannie, od razu po każdym pożegnaniu. Jednak czas spędzany razem nigdy nie był beztroski. Co chwilę działaliśmy sobie na nerwy, pozostawaliśmy w defensywie i oddychaliśmy z ulgą, gdy trzeba było się rozstać. A potem za sobą tęskniliśmy. *With or without you*, tak jak w starej, kliwej piosence U2.

Poczekąłem, aż Ella przejdzie przez most pełen znudzonych turystów i pośle mi całusa, a potem odjechałem, odczuwając, jak zawsze, ulgę i bezradność. *With or without me*, właściwie tak to powinno brzmieć, pomyślałem. Nie mogłem żyć ze sobą, ale bez siebie (bo czym innym były fazy manii i depresji, jeśli nie utratą siebie?) też nie. Po prostu nie potrafię żyć, pomyślałem i nacisnąłem na pedały.

6

Ella przez długi czas była moim jedynym oparciem. Trzymałem się jej, a ona często trzymała się mnie. Z pewnością nadal zdawała sobie sprawę, co mogłoby się z nami stać i jakie były nasze możliwości. Ja już nie. Tak po prostu. Potrafiłem to sobie wyobrazić, ale w to nie wierzyłem, ponieważ nie wierzyłem już w siebie.

A jednak była moją radością, kiedy patrzyłem na jej twarz, mogłem na chwilę odetchnąć. Czasami wracało nam poczucie humoru, pozwalaliśmy sobie na drobne żarty, krótkie chwile swobody. Ja również mogłem sprawiać jej radość, okazywać miłość i czułość. To niemożliwe, że ona jedna mi została. A jednak tak było.

Po co trwałem? Nie chciałem, żeby cierpiała. Czekałem, mając niewielką nadzieję, może z czystego przyzwyczajenia. Ale byłem już przecież martwy. Zwyczajnie martwy, bez względu na to, co mówili inni. Tym razem nie mogłem się odbudować, znalazłem się poza społecznym nawiasem i nie potrafiłem znaleźć drogi powrotnej.

A może jednak? Czasami myślałem, że uda mi się jeszcze ostatni raz powrócić do jakiejś formy życia, która nie składałaby się jedynie z trwania i bólu. To mogło się powieść. Nie wszystko musiało być takie złe. A jednak wydawało mi się, że zbyt często powtarzałem lub pisałem właśnie te słowa i że tym razem nie miały już żadnego znaczenia.

Czy karałem się, nie żyjąc? Nie pozwalałem sobie nawet na pójście do kina, fobia społeczna zrobiła swoje. Nie potrafiłem robić tych wszystkich rzeczy. Koniec z wykwinnym jedzeniem, pogawędkami, z czerpaniem radości z życia. Nie mogłem wydostać się z tego zakłętego wiru. Popatrz na coś pięknego, mówili ci, którzy zostali, na coś, co ci się podoba, ale ja zwyczajnie już tego nie widziałem. Nie mogłem i nie byłem w stanie tego zrobić.

Rzekoma nieprzeniknioność depresji i niemożliwość jej opisanie to nieprawda. Prowadziłem coś w rodzaju pamiętnika i mógłbym pisać dalej, przedstawić tysiące chwil, w których wymuszałem nawet najmniejsze działania, pokonując ogromny, ponury opór. W ten sposób powstał monstrualny katalog całkowitej pustki, absolutnie smutnej i śmiertelnie nudnej. Można ją opisać, ale nie dało się tego czytać.

Wiele razy odgrywałem własną śmierć, wyobrażałem ją sobie, a także, niestety, reakcje, jakie wywoła: smutek jednych, obojętność drugich, brak zainteresowania z krótkim przebyśkiem nostalgii ze strony dawnych przyjaciół. A potem powrót do tekstu życia, tak bywa, pogubił się, zapomniano o nim, nic nie można zrobić.

Zawsze, gdy brałem leki, myślałem: oto mija jeszcze jeden dzień. Zdecydował się na kolejny. Drobne odraczanie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. A kiedy brałem leki, odczuwałem chwilową ulgę. Nie musiało to nastąpić teraz. Mógł zostać jeszcze trochę dłużej.

Kiedy wszedłem, najpierw nie zwróciła na mnie uwagi. Patrzyła w zamyśleniu przez okno, masowała skroń długopisem, wydawała się pogrążona w marzeniach na jawie. Przyszedłem tu na piechotę z innej dzielnicy, aby poruszać się mimo bólu i w ten sposób przeciwdziałać zanikowi mięśni. Zdziwiła mnie jasna, nieskazitelna fasada, ten wspaniały dom w dość zapyziałej i pokrytej sadzą okolicy. Oba dzwonki, górny i dolny, były przyciskami otwierającymi drzwi. Po dwóch sygnałach i pokonaniu kilku stopni stanąłem bez zapowiedzi w przedsionku.

Kiedy mnie zauważyła, uśmiech, jaki mi pośłała, był tym bardziej profesjonalny. Od zawsze miałem słabość do androgynicznego, mieszczańskiego stylu ubierania się, a coś francuskiego w jej powierzchowności i elegancja wykrochmalonego kołnierzyka wystającego spod kaszmirowego swetra mnie do niej zjednały. Beznamiętna, chłodna uroda, jak z filmu François Ozona. Miała na imię Sophia i, co absurdalne, miała tytuł doktora, przynajmniej tak głosiła tabliczka z nazwiskiem na biurku. Po tych wszystkich bezzębnych i złośliwych smokach i smoczycach napotkanych podczas długiego, nędznego marszu przez instytucje, była zdecydowanie chwilową ulgą dla serca i zmysłów.

Nic nie mówiła, ja również się nie spieszyłem, aby zakłócić tę przyjemną ciszę. Potem przechyliła głowę.

– No? – Żadnego „cześć” ani „hej”, jak między starymi znajomymi, tylko *no*?

– No – odpowiedziałem zaskoczony.

Od niechcenia ułożyła kilka cienkich teczek, spoglądając przy tym na jeszcze cieńszy monitor.

– Cieszymy się, że możemy pana u nas powitać – powiedziała. – Prawie powiedziałam *wreszcie*.

Wreszcie możemy pana u nas powitać. – Nadal się uśmiechała, szczerze, bez ukrytych motywów.

– Dlaczego wreszcie? – zapytałem.

– To tylko taka myśl. Niektórzy szybciej znajdują do nas drogę. A skoro jest pan tu dopiero teraz, to dla obu stron idealny moment.

– Rozumiem – powiedziałem, nie do końca rozumiejąc.

– Profesor von Radowitz zaraz do pana przyjdzie. W międzyczasie może pan usiąść, jeśli ma pan ochotę. Może kawy?

– Chętnie.

– Zaraz wracam.

Zniknęła na zapleczu. Usiadłem na czarnej skórzanej kanapie przy przeciwległej ścianie. Na stojącym obok stoliku leżały albumy o sztuce i wielkoformatowe biografie wybitnych pisarzy i filmowców, dużo obrazków, mało tekstu. I błyszczące magazyny. Zanim zdążyłem sięgnąć po jeden z nich, Sophia wróciła i postawiła przede mną kawę z dużą ilością mleka i cukru, tak jak naprawdę lubiłem. Następnie wycofała się za biurko i niemal bezgłośnie pisała na komputerze.

Wziąłem do ręki album o Larsie von Triarze i zacząłem go przeglądać. Zaskoczyło mnie, że w ogóle istnieje taka książka. Przeważały w niej czarno-białe fotografie, co wydawało mi się logiczne, tak samo jak logiczne było to, że albumy o Davidzie Lynchu mieniły się jaskrawymi kolorami. Zdjęcia rozczarowały mnie jednak nijakością, jakby nie były w stanie wyrazić traumatycznej przemocy emanującej z jego filmów. Skierowałem uwagę na coś innego. Sponad krawędzi książki obserwowałem Sophię, która teraz promieniowała świadomą powagą. Kosmyk jej włosów lśnił w halogenowym świetle biurkowej lampy, w zamyśleniu schowała go za uchem. Była tak skoncentrowana, że miała całkowicie zamglone spojrzenie.

– A więc jest pan fanem Larsa von Triara? – von Radowitz stanął przede mną, rozchylając usta w szerokim uśmiechu. Miał twarz podstarzałego pięknisia.

Nie wiedziałem, co powiedzieć i wzruszyłem ramionami.

– Jeśli tak pan uważa...

– Tak *sądzę* – powiedział głośno i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Sam nie wiem – powiedziałem roztargnionym tonem, zastanawiając się, czy to, co stwierdził, w ogóle się zgadza. Ale prawdopodobnie po raz kolejny nie zrozumiałem, że chodziło tu tylko o zwykłą pogawędkę i kilka powierzchownych pochlebstw, a nie o jakieś stwierdzenia, które można było poddać pod dyskusję lub nawet uznać za prawdziwe. Znów potraktowałem to dosłownie i utknąłem.

– Proszę za mną, omówimy teraz pokrótce dalszy przebieg procedury. – Ocknąłem się z zamyślenia, wstałem i poszedłem za nim. Sophia uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem ten grymas w możliwie niewymuszony sposób.

Biuro Radowitza było jasne i uporządkowane, znajdował się tam stół konferencyjny zdecydowanie za duży i za długi dla nas dwóch.

– Umowa – powiedział von Radowitz – jest nieodwracalna. Musi pan być tego świadomy.

– Jestem – powiedziałem zdecydowanie.

– To dobrze. Bardzo dobrze – ucieszył się. Siedział naprzeciwko mnie po przekątnej, wydawał mi się bardzo monachijski, stąpający twardo po ziemi, ogorzały od słońca, racjonalny i zakorzeniony. – Kiedy przyjmujemy kogoś do Domu pod Słońcem, to dla zainteresowanej osoby ogromna szansa. Ale można z niej skorzystać jedynie wtedy, gdy ten ktoś się podda, licząc się ze wszystkimi konsekwencjami.

– To brzmi ostatecznie.

– Bo takie *jest*. Zostanie pan klientem fabryki marzeń, której prawom musi się pan podporządkować w stu procentach. Mówię to tak wyraźnie, aby upewnić się, że pan wie, na co się zdaje.

– W tej chwili mogę to tylko przeczuwać.

– Nie, rozumie to pan już dość dobrze. I wie, że podjął decyzję, aby powierzyć nam swoje życie i dowiedzieć się, czym jeszcze może się stać.

– Naprawdę? – zapytałem.

– Tu nie chodzi o jakieś projekty estetyczne czy coś w tym stylu. Musi pan to sobie uświadomić. To dotyczy pana jako człowieka. Odnosi się do pańskiego życia i nie ma nic wspólnego z jakimiś refleksami z odległych zakątków postmodernizmu. Nie ma tu żadnego „jakby”. Jesteśmy mistrzami estetyki, ale nasze cele sięgają znacznie dalej. – Wziął krótki, głęboki oddech. – Jest pan wartościowym człowiekiem – ciągnął poważnym tonem – tak przynajmniej zapewniamy pana ze wszystkich stron. Pan jest jedyną osobą, która w to nie wierzy.

– Oprócz państwa – dodałem.

– Państwa? Potrzebuje pan od niego potwierdzenia? To dla mnie nowość.

– Nie wiem, co chciałem przez to powiedzieć. Nie znalazłem jeszcze swojego miejsca w społeczeństwie, a mam pięćdziesiąt lat. A państwo mi tego nie ułatwiało.

– Wszystko, czym pan jest, jemu pan zawdzięcza. Absurdalny fakt, nieprawdaż? Wykształcenie, stypendia, operacje ratujące życie, wszystko. To, co panu oferujemy, to państwowy program. Państwo chce pana uratować po raz ostatni.

- Aby się mnie pozbyć.
- To jedna z opcji. I zresztą pana największe pragnienie.
- Nienawidzę takich scenariuszy.
- Jakich scenariuszy?
- Tych – wykonałem gest sugerujący cudzysłów, którego tak naprawdę nie znoszę – trochę kafkowskich, dystopijnych, orwellowskich w nowym, wspaniałym świecie. Brzydzę się nimi.
- Nadal myśli pan w kategoriach literackich. To nie jest tekst. To jest pańskie życie.
- Założmy, że się zgodzę. *Wtedy* to będzie moje życie.
- To pańska decyzja. Ale czułbym się jak hipokryta, gdybym udawał, że nie wiem, iż już dawno zapadła. Nie chce i nie potrafi pan żyć ze swoją chorobą. Znów wszystko panu odebrała. Podejrzewa pan też, że ostatnia mania pozbawiła pana również kreatywności i zdolności intelektualnych.
- Zgadza się. Napisałem to w tym długim kwestionariuszu. Nic dziwnego, że pan o tym wie.
- Ale my traktujemy takie stwierdzenia poważnie. Wiem, że istnieje wystarczająco dużo badań na ten temat. Manie powodują zanik istoty szarej, a zdolności poznawcze mogą ulec trwałemu i znacznemu upośledzeniu. Depresja i leki robią swoje. Możemy to również u nas zbadać. Przekona się pan, że jesteśmy realistami, nie uspokajamy i nie przekraczamy faktów.
- A kto za to wszystko płaci?
- Właściwie państwo, jak już wspominałem. To, do czego przez kilkadziesiąt lat nie musi dokładać w ramach pomocy społecznej, inwestuje w ostatnie marzenie. Jest to wprawdzie projekt pilotażowy, ale ostatecznie okaże się tańszy, a klienci odnajdą szczęście.
- Ale tylko na krótko.
- Dobrze i to. W normalnym życiu rzadko tak jest. To sytuacja, w której obie strony są zadowolone.
- Co za *frazes* – westchnąłem.
- Nie musi pan lubić moich frazesów, tylko zaakceptować koncepcję.
- A do kiedy muszę podjąć decyzję?
- Przecież już pan ją podjął. Powinien pan podpisać umowę w ciągu dwóch tygodni.

Pochylił się nade mną. Nawet zmarszczki na jego czole, które mogłem teraz dokładnie obejrzeć, były ułożone w gustowny sposób. – Wiem, że pragnie pan śmierci. Wiem, że to konieczność i że prędzej czy później i tak zrealizuje pan to życzenie. Dlaczego więc przedtem nie miałby pan jeszcze raz zaznać prawdziwych chwil szczęścia?

Kiedy wychodziłem z biura, wydawało mi się, że dostrzegłem cień współczucia w wodnistych oczach Sophii. Ale może to było tylko zmęczenie. Uśmiechnęła się naturalnie, powiedziała „do zobaczenia” i ponownie skierowała w stronę monitora, nie zapominając o krótkim skinieniu głową, kiedy jeszcze raz się do niej odwróciłem.